




# GRUNWALD. 1410-1910.

Grunwald — słowo magiczne, wcielające w siebie ideę porachunku krzywd wiekowych i najwyższego, żywiołowego napięcia uczuć z jednej strony, a z drugiej—symbol klęski i upokorzenia, święci dzisiaj w pamięci świata uroczyste 500-lecie.







Dzień wiekopomny 15 lipca 1410 roku przypadł—niby punkt kulminacyjny—w połowie tego tysiąclecia, jakim dzieje—od swego zarania historycznego aż po dziś dzień—połączyły praocjów i ojców naszych, a wreszcie nas samych splotami nierozzerwalnych stosunków życia, a za nim i historii—z Niemcami...

Ani myśl ludzka ani pióro ludzkie nie są w stanie—zwłaszcza w dobie obecnego położenia ziemi naszej—wzniesić się na wyżyny, godne omawianego tu faktu i wiekopomnej jego rocznicy.

Grunwald!

Gdybyśmy otwarli serce dziejów naszych—może to jedno tylko słowo, jako węzeł i symbol naszych wszechrzeczy dziejowych, znaleźlibyśmy wypisane w jego głębi zgłoskami, mieniącymi się purpurą krwi i zapału, złotem dumy i upojenia, czernią nędzy i żaloby...

Nessun maggior dolore...

To prawda—a jednak, czyż długi korowód wieków i bohaterów, tytanów i dążących za nimi tłumów bezśmiertnych—korowód cieniów Mieszka i Gerona, Chrobrego, Krzywoustego i obu Henryków, Łokietka i Ludera, a wreszcie Jagiełły, Witolda i Ulryka z Jungingen—korowód, wiodący nas ku polom Grunwaldu, nie posiada dość majestatu na to, aby kluczem zaczarowanym wspomnień pierwszych pięciu wieków, otworzyć nam balsam siły moralnej na dalsze stulecia nieszczęść, klęsk i zawodów?

W czerwono-złoty zgłoskach „Grunwaldu“ otrzymamy odpowiedź na to pytanie.

Zaklęty w nich zapał, duma i upojenie, następujące—jak zwykle w świecie—po wiekach zmagania się ufnej w lepszą gwiazdę słabości ze zbyt pewną siebie siłą—zamieniły silnych na słabych i odwrotnie...

Fortuna kołem się toczy.

Tyle głosi nam zmienność zasadnicza kolei dziejowych: tyle powiada nam synteza dziejowa Krzyszkowa i—Grunwaldu, a może nadto synteza wyczuwana schyłku XVIII-go wieku i bliższej czy dalszej przyszłości Polski i Słowiańszczyzny.

Gdybyśmy bowiem, zapominając na chwilę o istotnym przebiegu dziejów, usiłowali wyobrazić sobie np. możliwą przyszłość

tego państwa, jakie na schyłku X-go wieku powoływał do życia Mieszko I, ujrzelibyśmy je niechybnie marchią niemiecką—posiadłością któregośkolwiek z tych margrafów potężnego Imperium Rzymsko-Niemieckiego, których urok wystarczał na to, aby pierwszy historyczny dynasta polski wzdragał się występować w szubie, albo siadać w ich obecności.

Wszelako, pomimo że losy zadecydowały inaczej i owo państewko, drobne na razie, stało się z czasem ostoją Słowiańszczyzny wobec Zachodu; pomimo że, wzmógłszy się w siły, odbijało przez lat czterysta zamachy Niemców na swoje istnienie; pomimo wreszcie, że, stanąwszy w wieku XIV na wyżynach monarchii ostatniego Piasta, wzrokiem coraz śmielszym spoglądało w przyszłość—to jednak przyrodzone niebezpieczeństwo zachodnie nie przestawało grozić mu podawnemu.

Jeszcze bowiem w roku 1366, kiedy potężny skądinąd król Kazimierz Wielki, pragnąc powetować straty i klęski, zadane ziemiom piastowskim przez przeważną siłę Krzyżaków, dziejowych spadkobierców dawnych margrafów niemieckich, wyruszył był do Malborka w celu naocznego przekonania się o stanie Zakonu, z ust jego paść miały przy rozstaniu się z W. Mistrzem, Winrykiem v. Kniprode, następujące wyrazy:

„Panie! O mało nie zostałem zgubiony przez tych, którzy namawiali mnie do walki z Wami, twierdząc, że nie jesteście do niej przygotowani... Obejrawszy bogactwa wasze i zasoby, rzekam się tej walki, podobnie jak i naród mój, skoro usłyszy, że potęgę waszą, o jakiej mu się ani śniło, sam tutaj na własne oczy oglądałem...”

Bez względu na ścisłą autentyczność tych słów, przekazanych nam przez kronikarza pruskiego, Wigandę, znajdujemy w nich wierne odzwierciedlenie istotnego stanu rzeczy, jaki panował w stosunkach Polski, a względnie i reszty Słowian zachodnich, do niemieckiej, niemal u progów Grunwaldu.

Ale zbliżał się wiek XV, a z nim potężna metamorfoza.

W ciągu niespełna pół wieku po wizycie malborskiej króla Kazimierza zdołały ziemie piastowskie, dzięki związkowi państwowemu z ziemiami Jagiełły, zdobyć się na dostatecz-



na potęgę materyalną i moralną, aby pomyśleć o pierwszym załatwieniu stanowczem zamierzchłych porachunków dziejowych.

Rok 1410 stał się tą wielką godziną na zegarze wieczności.

Wobec pierzchającego na długo cienia wrogiej przemocy wiekowej, świeciła wtedy czczest swój dziejowy unia Polski, Litwy i Rusi u progów nowej ery—państwa Jagiellonów, którego świty wyłocił na polach Grunwaldu pierwszy płomień słońca przyszłości.

Wyłocił je na drogę „Złotego Wieku“ i braterstwa ludów, wypromienił na długą erę swobodnego wypowiedania się Natury—od Odry po Dźwinę i od Bałtyku po Karpaty,—w dziejach rodzonych jej synów, co od czasów zamierzchłych z dziada—pradziada siedzieli i siedzą pod tem podniebieniem.

Trudno o większy tryumf zespołu, o potężniejszą w swej harmonii historycznej sym-

fonię tych akordów dziejowych, jakie, wyszedłszy z pod bereł średniowiecznego dyssonansu Piastów, Giedyminowiców i Rurkowiców, stopiły się w jeden dźwięk szpizowy a długotrwały na polach Grunwaldu...

Zjawiska takie nie przemijają bez śladu; to też, pomimo że okoliczności późniejsze, względy, błędy i niedopatrzzenia zwycięsców, pozwoliły ceniom margrafów i Krzyżaków odżyć na nowo po długich latach, w odmiennej postaci Prus sekularyzowanych; pomimo to wszystko—bijąca z odległych, ale wiecznie świeżych wspomnień grunwaldzkich stara prawda dziejowa o pysze, zaślepieniu i niesprawiedliwości, wiodących największe nawet potęgi do upadku, jaśnieć powinna dzisiaj i na przyszłość wielką nauką, niosącą jednym krzepiącą otuchę, a innym—wskazówkę do opamiętania.

*J. K. Kochanowski.*



## Pamiątki z pod Grunwaldu.



RELIKWIARZ W. MISTRZA.

Fot. S. Warcholik.

Do nielicznych zapewne pamiątek z pobojo-wiska grunwaldzkiego należy relikwiarzyk Wielkiego Komtura zakonu, znaleziony w obozie krzyżackim. Relikwiarzyk ten jest srebrny, napis pozłacany, a znajduje się w skarbcu kościoła św. Floryana w Krakowie, gdzie zapewne złożył go król Władysław Jagiełło.

Pamiątka sama choć skromna, ale bądź co bądź pochodząca z 1365 r., jak świadczy wyryty na postumencie napis,—jedną z nielicznych jest dziś zapewne pozostałości po wielkiem zwycięstwie—szkoda tylko, że w ukryciu i zapomnieniu spoczywa.



Drugą podobnego pochodzenia pamiątką jest relikwiarz, który Wielki Mistrz miał w dniu bitwy na piersiach i który ze szczodrych rąk Jagiełły przeszedł na własność kapituły gnieźnieńskiej. W najnowszych

dopiero czasach pamiątka ta ofiarowana przez arcyb. Stablewskiego Wilhelmowi II, umieszczona została w jednej z sal zamku malborskiego.

S. W.

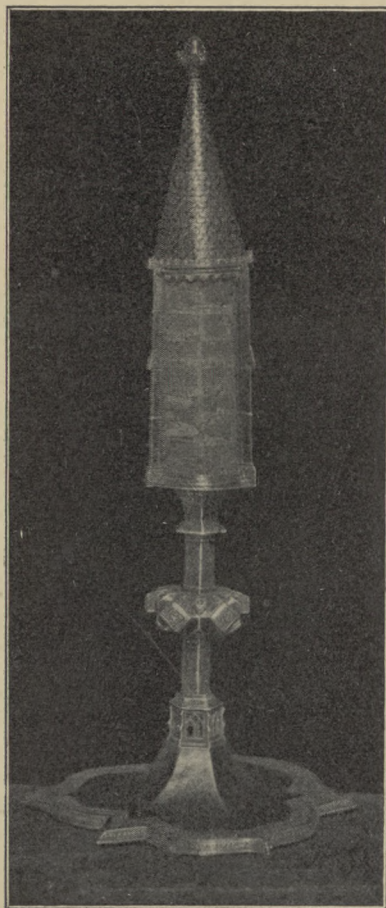
# Szlakiem Jagiełły.

Jak wiadomo, „wielka wojna“ polsko - krzyżacka, której punktem kulminacyjnym była bitwa pod Grunwaldem, rozpoczęła się jeszcze w roku poprzednim — 1409. W owym czasie odwieczne ścieranie się zaborczości krzyżackiej z broniącą swęj całości Polską doszło do takiego naprężenia, że lada iskra wywołać mogła nieobliczalny w skutkach wybuch. Iskrę tę rzucił, korzystając z błahego zajścia, W. mistrz Ulryk v. Jungingen, który, party przez swój niepomamowany temperament i krzyżacką iście pychę, postanowił „skierować uderzenie raczej na głowę, niż na członki“ — t. j. na Polskę, a nie na Litwę. Jakoteż 6 sierpnia 1409 r. posłał on Jagielle uroczyste wypowiedzenie wojny — i niezwłocznie rozpoczął kroki wojenne. Król bawił naówczas w Nowem mieście Korczynie nad Nidą i tu już 15 sierpnia otrzymał owo wypowiedzenie wojny, ale razem z hiobową wieścią o upadku całego szeregu twierdz pogranicznych polskich, zdobytych przez Krzyżaków, doskonale już przedtem do wojny przygotowanych i posiadających silną artylerję. Wtedy dopiero ogłosił Jagiełło pospolite ruszenie, wyznaczając punkt zborny w Wolborzu na 9 września. Po zebraniu się chorągwi z ziem: krakowskiej, sandomierskiej, lubelskiej, ruskiej i podolskiej, ruszył król w Łęczyskie. — Już po szóstym dniu marszu stanęło wojsko w Bydgoszczy, którą też zdobyto 30 września. Dowiedziawszy się o odbiciu Bydgoszczy i postępie oręża polskiego ruszył W. mistrz na spotkanie, gdy zaś i Jagiełło prze-

szedł Brdę i następował na Świecie, o mało nie doszło już wtedy do walnej rozprawy. Już tylko dwie mile dzieliły oba wojska, gdy posłom króla czeskiego Waclawa, przekupionego przez Krzyżaków za 60.000 złotych, udało się skłonić Jagiełłę do zawarcia rozejmu do Św. Jana roku następnego i oddania całej sprawy na sąd polubowny tegoż króla Waclawa i jego radców. Tymczasem zaś każda strona miała zachować aż do

wydania wyroku wszystkie zajęte przez siebie zamki i miasta; zobowiązać się też musiał król Jagiełło, że żadnej pomocy ani rady Żmudzinom i Litwinom nie poda — i ich z obecnej ugody wyłącza. Wywołały te uciążliwe dla Polaków warunki oburzenie w całym kraju. — Jakkolwiek już wtedy Polacy zamiłowaniem pokoju i wiarę w układy posuwać zaczęli aż do opieszałości, zagrażającej całości państwa — to w danym wypadku jednak nie tylko te względy zaważyły na decyzji Jagiełły; niemożliwość prowadzenia wojny przy ówczesnych warunkach zimą — działało się to już w październiku — a więcej jeszcze wiadomość od Witolda, że dopiero na przyszłą wojnę może przysposobić większą siłę i przyjsć z pomocą — z pewnością przeważyły i tym jeszcze razem na rzecz pokoju. Natomiast Krzyżacy, którzy mimo swej rzeczywistej gotowości bojowej, drapieżności i pychy niezmiernej — zawsze jednak woleli uciekać się do polityki, kręctwa i przekupstwa niż do rozprawy rycerskiej — przerachowali się tym razem zupełnie. Wielki mistrz Ulryk za-

Do art. „Pamiętki z pod Grunwaldu“.



RELIKWIARZ  
W. KOMTURA.

Fot. S. Wareholik.



miast skorzystać ze swojej chwilowej przewagi dał Polakom skupić siły i przygotować się nareszcie gruntownie do wojny, przez co okazał się równie miernym wodzem, jak złym politykiem.

Zastanawia tu termin rozejmu—aż do Św. Jana t. j. do końca prawie czerwca. Sądzę, że na wyznaczenie o-  
dległego termi-  
nu wpłynąć mu-  
siał charakter  
ówczesny kraju:  
była to jedna  
niemal puszcza,  
co przy wilgot-  
nym klimacie  
Polski czyniło  
drogi nieprze-  
bytymi aż do  
późnej wiosny,  
zwłaszcza dla  
ciężko zbroj-  
nych rycerzy  
ówczesnych.

Bądź co  
bądź, gdy po  
podpisaniu za-  
wieszenia broni  
8 października  
wojska nieprzy-

jacielskie rozeszły się do domów—już powszechnie utrwaliło się w Polsce przekonanie, że wojna jest nieunikniona. Gdy zaś prócz tego król Wacław wydał jawnie niesprawiedliwy sąd, przysądzając wszystkie korzyści Krzyżakom zaczęły się gorączkowo przygotowania do wojny.

Jagiello udał się w grudniu do Brześcia, gdzie wspólnie z Witoldem i podkanclerzym koronnym Mikołajem ułożył szczegółowo cały plan przyszłej wojny, czas i miejsce połączenia wojsk oraz sposób przeprawy przez Wisłę. W naradzie tej przyjmował udział bawiący w gościnie u Witolda pretendent do tronów wielkich hanów, Soldan—który też przyrzekł przyprowadzić swoich Tatarów. Jedną z największych trudności nastęrczało zaprowiantowanie armii. O czemś podobnym do intendentury dzisiejszej nie było wtedy mowy jeszcze. Jagiello jednak ze swoim flegmatycznym i systematycznym usposobieniem Litwina o wszystkim pomyślał, a czego się podjął, to już wykonał dokładnie. Oto z Brześcia udał się przez Kamieniec litewski do puszczy Białowieskiej, a ubiwszy w ciągu 8 dni mnóstwo zwierzyny, kazał mięso osolić, złożyć do beczek i Narwią i Wisłą spławić do Płocka, gdzie jak widzimy, przygotowywał podstawę operacyjną. Jednocześnie pod dozorem starosty sandomierskiego Dobrogosta Czarnego z Odrzywołu rozpoczął

mistrz ciesielski Jarosław budowę mostu łyżwowego w puszczy pod Kozienicami w celu spuszczenia go w swoim czasie pod Czerwińsk. Była to, jak się zdaje, pierwsza próba tego rodzaju i ten most ruchomy wydawał się na owe czasy tak śmiałym pomysłem, że Krzyżacy, uprzedzeni o zamie-

rzezeniach Polaków przez komandora ostródzkiego, który mimo tajemniczości narady brzeskiej, przez jakiegoś szpiega wszystkich się jej szczegółów dowiedział—kpił głośno z mostu, którzy Polacy „na powietrzu“ budują.

Cały plan ułożony w Brześciu, którego treścią było przeniesienie akcji na prawy brzeg Wisły,

co stało się możliwym tylko po obmyśleniu sposobu przeprawy przez nią,—i pochód wprost na Malborg,—był znakomitym pomysłem strategicznym, nawet według pojęć dzisiejszych. — Wykonanie zaś tego planu, przeprowadzone najdokładniej we wszystkich szczegółach stało się możliwe tylko dzięki niesłychanie sumiennemu i wszechstronnemu przygotowaniu mobilizacji, co jest bez wątpienia największą zasługą Jagielly.

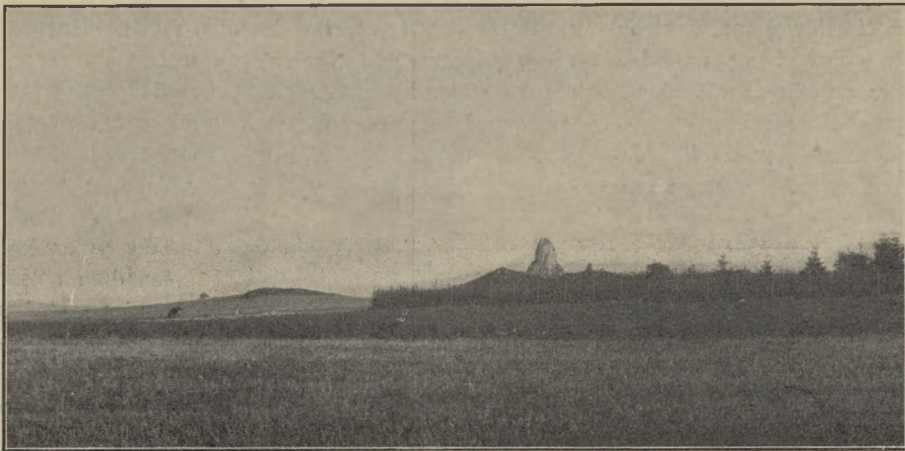
Najbardziej jednak podziwu godna jest w tem wszystkim ta nadzwyczaj dokładna znajomość swego kraju, jego fizyografii i topografii, warunków i zasobów, która w tak wybitny sposób wpłynęła na losy wojny, dzięki doskonale odpowiadającemu rzeczywistym warunkom planowi kampanii. A pamiętajmy, że plan ten układano bez map, bo tych wówczas nie było, a jedynie na podstawie znajomości osobistej całego terenu w najdrobniejszych szczegółach. Członkowie narady brzeskiej okazali się doskonałymi krajoznawcami; nie tylko oni zresztą, bo przecież poszczególne chorągwie zdążyły później na miejsce zborne z punktualnością zdumiewającą, a szły bez map, bez dróg często, przez bagna i puszcze, o których obecnie pojęcia nie mamy. Mniej nas może będzie dziwiła ta znajomość kraju, gdy przypomnimy sobie, że rycerstwo ówczesne pędziło żywot nadzwyczaj ruchli-



Fot. K. Rzepnikowski z Lubawy.

Miejsce gdzie Dypold v. Köckeritz natarł na Jagiellę.





Fot. K. Rzepnikowski z Lubawy.

Między laskiem a kamieniem pamiątkowym.

wy, co oczywiście znakomicie wpływało na poznanie kraju. Z podziwem czytamy nietylko już o tem, że Jagiełło co rok jeździł z Krakowa na Litwę, nie licząc mnóstwa pomniejszych podróży, ale szczególnie zdumiewa nas ta bajeczna łatwość, z jaką przenoszono się przez niesłychane dla nas bezdroża z krańca w kraniec Polski, tak jak my tego niemal nie potrafimy zrobić z krańca na kraniec miasta. Już w czasie tej jednej wojny Jagiełło z Wolborza rusza pod Bydgoszcz i dalej jeszcze, stamtąd wraca do Krakowa, po zjeździe w Niepołomicach udaje się do Brześcia litewskiego, poluje następnie w Białowieży i lasach Przeszowieckich, a w kilka tygodni już go widzimy w Sączu na Podkarpaciu. Witold zaś dokazuje wprost cudów—dość powiedzieć, że po niefortunnej wyprawie dyplomatycznej na Węgry, pędząc na podwodach („concito cursu in podvodis”) z Sącza na trzeci dzień staje w Lublinie, a czwartego już z Brześcia rozsyła wici na wojnę przeciw Krzyżakom. Wątpliwą jest rzeczą, czy i dziś wobec komunikacji kolejowej o wiele prędzej zdążyłoby się z Sącza przejechać do Brześcia.

Z Sącza król Władysław udał się do Krakowa, gdzie 23 kwietnia zaciągnął na żołąd umówiony ochotników z Czech i Morawy, którzy następnie utworzyli 3 chorągwie najemne, swoich zaś rycerzy rozpuścił do domów dla przygotowania się do wojny.

Z Krakowa udał się Jagiełło do Nowego miasta Korczyna, gdzie spędził Zielone Świątki, a następnie do Nowej Słupi, skąd odbył pieszo pielgrzymkę na Św. Krzyż—i przez Bodzentyn, Bliżyn, Żarnów i Sulejów 24 czerwca 1410 r. stanął w Wolborzu, gdzie, jak w roku zeszłym miało się zebrać pospolite ruszenie. Było to więc w sam dzień św. Jana t. j. w dzień, w którym upływał

termin zawieszenia broni. W Wolborzu zgromadzona była za ledwie część wojska polskiego, i gdyby W. mistrz lepszym był wodzem i dzień ten już uprzednio przygotowany, rozpoczął był akcją zaczepną, Polska ponieśby musiała ciężką klęskę. Na szczęście jednak Krzyżacy nie tylko dalecy jeszcze byli od gotowości, ale W. mistrz dotąd nie zdawał sobie sprawy z planu Jagiełły i za-

miast skupić siły rozciągnął linię obronną na całą prawie granicę swoją od Marchi aż po Litwę.

Po zgromadzeniu się w Wolborzu chorągwi małopolskich, ruskich i podolskich, oraz najemników czeskich, wyruszył król 26 czerwca przez Lubochnię, Wysokienice, Sejmice, Skierniewice i Kozłów Biskupi nad Bzurą ku Czerwińskowi, robiąc po 3—4 mile dziennie. W Kozłowie otrzymał król wiadomość od Witolda, że stanął już z wojskiem swoim i Tatarami nad Narwią i prosi o nadesłanie kilku chorągwi dla osłonięcia jego przeprawy. Wyprawiwszy 12 chorągwi Witoldowi, ruszył król 3-go czerwca z Kozłowa, tegoż dnia jeszcze przeprowił się przez przygotowany u kępy Śladowskiej most, zbudowany pod Kozienicami, i tu połączyły się z wojskiem chorągwie wielkopolskie i nadsięgnął Witold. Przeprawa odbywała się trzy dni, a dzięki mądrym zarządzeniom odbyła się we wzorowym porządku i bez wypadku, poczem most rozebrano i spuszczone do Płocka na wypadek odwrotu. 3 lipca ruszono dalej na Żochów i Jeżewo, gdzie Witold uporządkował swoje wojsko, rozdając chorągwiom znaki, poczem król celem przekonania się o gotowości bojowej, zarządził fałszywą trwogę. Wreszcie 9 lipca wkroczone w ziemię nieprzyjacielskie i odtąd wojsko postępowało w szyku bojowym z rozpuszczonymi banderyami. Dowódcą wojska polskiego mianował król Zyndrama z Maszkowic, miecznika krakowskiego, jakkolwiek faktycznym wodzem wojsk połączonych był W. ks. Witold, jako przewodniczący rady wojennej. Gdy 10 lipca doszły wojska do Kurzętnika (Kauernik) nad Drwęcą, zastano tu mocną załogę krzyżacką, brzegi rzeki zaś tak ufortyfikowane ostrokołem i działami, że o sforsowaniu przeprawy nie mogło być mowy. Wówczas na naradzie wojennej powzięto śmiały plan obejścia Drwęcy u jej źródła.



i nazajutrz 11 lipca armia polsko-litewska ruszyła z powrotem do Kudzborka. Manewru tego Ulryk nie zrozumiał: z początku wziął to za cofnięcie się Jagielly, i dopiero po otrzymaniu doniesień o dalszym pochodzie, przeprowadził się 13-go lipca przez Drwęcę pod Bratyanem. Tymczasem Jagiełło 12-go stanął we wsi Wyskiej (Hohendorf) pod Działdowem, a 13 lipca doszedł do Dąbrowna (Gilgenburg),



*Pol. K. Rzepnikowski z Lubawy.*

Stanowisko prawego skrzydła wojska polsko-litewskiego.

gdzie stanął obozem opodal silnej twierdzy krzyżackiej, obsadzonej mocną załogą. Dzień był upalny, to też ku wieczorowi wielu rycerzy polskich, bez broni prawie, wyszło z obozu, żeby się przypatrzeć miastu i nieprzyjacielowi, którego dopiero w Kurzętniku z daleka oglądano. Przed bramą twierdzy stał oddział Krzyżaków; zaczęto, zwyczajem ówczesnym, lżyć się wzajemnie—od słów przyszło do starcia i zawrzała bitwa. Pod furją nacierających cofnęli się Krzyżacy za mury, a rozgrzane rycerstwo rzuciło się do szturmowania. Dowiedziawszy się o tem, Jagiełło kazał trąbić na odwrot, obawiając się porażki szturmujących, ale już było zapóźno: kto żyw chwycił za broń i pędził do bitwy;—w kilka pacierzy miasto zdobyto.

To niespodziane zdobycie Dąbrowna zatrzymało króla na miejscu przez dzień następny. W nocy z 14 na 15 lipca srożyła się burza, a rano 15 lipca wiał tak gwałtowny wiatr, że niepodobna było rozpiąć namiotu dla odprawienia mszy, jak to było codziennym zwyczajem Jagielly.

Ruszono więc, lecz z powodu nieustającej ulewy uszedłszy zaledwie 1½ mili stanęło wojsko obozem w okolicy wsi Ulnowa w pobliżu jeziora Lubenia. Tu z rozkazu króla na górze nad jeziorem ustawiono kaplicę obozową i rozpoczęła się msza, gdy nadeszła wiadomość, że zbliżają się od Tannenberga (Sztymborka) Krzyżacy. Teren, na którym rozegrała się pamiętna bitwa, typowo polodowcowy, składa się z szeregu wyniosłych, ale niezbyt stromych pagórków, rozdzielonych rozpadlinami. Cała okolica musiała być pokryta borem, co tem bardziej utrudniało sprawienie szyków. Ostatecznie wojska polskie i litewskie uszykowały się przed Ulnowem na wyniosłości: — Litwini na prawem skrzydle, Polacy na lewem, — nawprost zaś za rozpadliną na drugiej wyniosłości stanęła armia krzyżacka, opierając się lewem skrzydłem

o Tannenberg, a prawem o Ludwikowo (Ludwigsdorf).

Już dawno uszykowały się wojska, bitwy jednak nie rozpoczynano, gdyż Krzyżacy nie chcieli zaczynać pierwsi, król zaś nie przerywał modlitwy, co do rozpacy doprowadzało Witolda, jak piorun przelatającego co chwila od skrzydła do skrzydła. Wreszcie skończyła się msza, rozpoczęło się pasowanie rycerzy, a musiało trwać długo, skoro pasowanych było około tysiąca. Po tem zwrócił się król z przemową do wojska, a wreszcie odbył jeszcze raz spowiedź przed podkanclerzym, proboszczem św. Floryana, siedząc już na koniu. Trudno nam dziś zrozumieć, dlaczego Krzyżacy tak długo czekali na rozpoczęcie bitwy, a nie ruszyli pierwsi na niezupełnie jeszcze uszykowanego nieprzyjaciela—powstrzymał ich jednak od tego obyczaj rycerski, zabraniający napadania na niegotowego do boju wroga, a jeszcze więcej to, że nie umieli ocenić dokładnie sił polskich, gdyż te ukryte były częściowo w lesie. Woleli więc posłać przez heroldów dwa miecze, jako wezwanie do boju dla Witolda i Jagielly. A już i król właśnie dał dał hasło, poczem cofnął się z pocztem na wzgórze pod lasem, skąd przyglądał się bitwie. Było już około południa, zagrzmiały salwy armatnie z obu stron, ale, jak się zdaje nie zrzuciły żadnej szkody—a wraz z pieśnią „Boga rodzica“, — złożywszy kopie, runęły polskie chorągwie.

Ruszyli też i Krzyżacy, a obie nawały, staczając się jak grom z pagórków, starły się strasznie w dolinie, gdzie z potrzaskanych kopii wnet most się utworzył. Zawrzał bój pierś w pierś na miecze i topory i trwał godzinę blisko, gdy Litwini, nie mogąc wytrzymać przewagi krzyżackiej, prysnęli wstecz, a za nimi ruszyły w pogoń chorągwie krzyżackie, siekąc i tratując... Wielu w ucieczce tej oparło się aż na Litwie, roznosząc wieści





o kłęsce.—Z całego wojska witoldowego tylko trzy chorągwie smoleńskie zostały na miejscu, a przetrwały się przez Krzyżaków, połączyły się z wojskiem polskim. Na Polaków ucieczka Litwinów sprawiła przygnębiające wrażenie — pierzchli z pola najemne chorągwie czeskie, chwiać się porwały chorągwie koronne, zwłaszcza, gdy padła wielka chorągiew. Kto wie, jakiby obrót wzięły rzeczy, gdyby nie nadbiegł Witold, próżno usiłujący dotąd krzykiem i razami powstrzymać pierzchające swoje szeregi. Pchnął w bój natychmiast posiłkowe hufce, które stały opodal w lesie, a sam jak ogień wpadł między chwających się i porwał ich za sobą. Rozgorzał bój na nowo.

Wyczerpani do ostatka straszonym wysiłkiem Krzyżacy, szybko ustępować zaczęli, ścieląc się gęstym trupem — i nic już nie pomogły przypadające z pogoni za Litwą chorągwie. Już ostatnia godzina bić poczęła dla hufu krzyżackiego — gdy naraz od strony Tannenbergu na prawem skrzydle polskim ukazały się pędzące w skok 16 chorągwi krzyżackich pod wodzą samego W. mistrza, które dotąd stały w odwodzie za pagórkami, a teraz obieżyły w koło i jak wichur szły w bok Polakom. Nikt się ich nie spodziewał z tej strony i nie od razu poznano co zaczęły, ale bitwa na chwilę ustała. Sądzono z początku, że to Litwini wracają — ruszył więc ku nim jeden z rycerzy, Dobek z Oleśnicy, a podjechał bliżej i rozpoznał wroga — rzucił się z kopią na dowódcę, — a gdy mu nie udało się zwać go z konia, zaczął uciekać. Teraz się straszna prawda odsłoniła.

Orszak królewski stał akurat na sztych tym chorągwiom, na szczęście jednak zdążono w czas spuścić proporzec królewski i Niemcy, pochłonięci całkowicie myślą zajechania w bok Polakom — przelecieli tuż, nie zwracając uwagi na małą garstkę rycerzy. Jeden tylko Dypold Kokeritz v. Dieber, pociągnięty zapewne świetną zbroją Jagiełły, rzucił się nań z kopią, ale zwalony z konia przez Zbigniewa Oleśnickiego, wnet został dobity. Kto zarządził w tej groźnej chwili uszykowanie się części wojska polskiego czołem ku nadbiegającym chorągwiom, nie wiemy zupełnie, to pewna jednak, że manewr ten zdecydował losy bitwy: jednocześnie uderzono na dwie strony, a gdy chorągwie chełmińskie, porzuciwszy proporzec, tył podały — zgnieciono Krzyżaków, otoczono — i gdy padł W. mistrz i co najprzedniejsze rycerstwo — reszta pomknęła do obozu, a spinając wozy ze sobą, próbowała tam stawić opór Polakom — na próżno jednak! Rozpoczęła się rzeź straszliwa — kto uszedł miecza, ginął w bagnie lub szedł w łyka... Zbliżał się wieczór..

„Rozmaite bywają — pisze pułkownik K. Górski powody wojen: poważne i błahe, wzniosłe i poziome, rzeczywiste i urojone... słuszne i niestosowne, nic jednak nie podnosi tak dalece ducha... jak zwycięstwo wieńczące dobrą sprawę. Takim właśnie było zwycięstwo odniesione nad Krzyżakami przez Polaków pod Grunwaldem“.



----- Pochód wojsk Polskich  
 ..... Pochód wojsk Krzyżackich





Na całym szlaku Jagiełły nie prawie nie zostało, co przypominałoby ów pochód po wawrzyn zwycięzki. Jedyną bodaj pamiątką, związaną z pochodem Jagiełły, jest odnaleziony niedawno przez ks. Gruberskiego u jednego z mieszczan czerwińskich wizerunek, którego podobiznę obok podaję. Jest to kopia drukowana w r. 1670 a której za oryginał służył „Obraz cudami wielkimi słynący Panny Maryi Matki Jezusa na Jasnej Górze Czerwieńskiej“<sup>1)</sup>.

Wiemy też, że wracając z pod Grunwaldu, złożył Jagiełło w Czerwińsku jako votum swój hełm — co się jednak z nim stało, nie wiadomo.

Natomiast, gdy nasz Wawel ailedwo zaczyna powracać zwolna do dawnej swej szaty królewskiej, Malborg, ów cel ostateczny szlaku Jagiełłowego, który zdobyć nie było mu dane — dziś po latach 500 stoi pyszny, dumny, groźny, a świetny i wspinały jak dawniej. Czyż nie przestrzega nas ta jego dzisiejsza świetność wyraźnie, że nie hymny, radośnie i dumne słowa winny być wyrazem naszych uczuć



w rocznicę Grunwaldzką — lecz przeświadczenie, że czeka nas długa i ciężka walka, o nasze istnienie. A w walce tej dwie rzeczy na mgnienie oka nie powinny nam schodzić z pamięci: po pierwsze, że niemasz potęgi, którejby wytrwałość i hart ducha zmódz nie zdołały, a potem, że najdokładniejsze poznanie swego kraju, praca nad powiększaniem jego zasobów, a usuwaniem braków — jest podstawą zwycięzkiego w tej walce wytrwania.

M. Wisznicki.

1) W otoku obrazu umieszczone są: na dole portrety ś. Augustyna i ś. Antoniego, wyżej dzieś krótkich opisów cudów, zdziałanych za sprawą M. B. Czerwińskiej, między zaś portretami wspomnienie historyczne d. 2 lipca 1410 r., zakończone następującym sześciowierszem:

„O Gwiazdo z Wschodu w Zachód wchodząca,  
 „W Xięstwie Mazowszu cudu słynąca,  
 „Do Ciebie próśby swoje podajem  
 „Niech w twej opiece prosiem (?) zostajem  
 „Tyś Matka Synów zgodnych w Koronie  
 „Zechciey mieć Polskę w swoiey obronie”.





# Sven Hedin w Tybecie.

Piękny projekt wyzyskania czasu zanim przyjdzie od gubernatora odpowiedź musiał spełznąć niestety na niczem. Nie mówiąc bowiem o weteranach z Leh i nowonabyte yaki były już tak pomęczone, że jeżeli roztropność nakazywała iść naprzód jak tylko można najdalej i dopóki tylko można najdłużej, to konieczność z drugiej strony przygwałdziała karawanę na miejscu. Wbrew woli trzeba było zostać i to nie jak dotychczas na dzień, na dwa, ale conajmniej na parę tygodni. Było to przykre, nieznośne, irytujące lecz—nieuchronne.

Żeby całkiem czasu nie tracić i bezczynnie na miejscu nie siedzieć, postanowił Sven Hedin, pozostawiając Muchameda Izę i Roberta na miejscu, udać się z dziesięcioma ludźmi na ekspedycję naukową wzdłuż i wszerz jeziora Ngantse-tso, nad brzegiem którego szlak podróży się urwał, głownie dla dokonania pomiarów głębokości. Wprawdzie Tybetańczycy ostrzegali, że lód na jeziorze jest słaby, co ze względu na dużą zawartość w nim soli miało pozory prawdopodobieństwa i że nikt z tuziemców nie waży się stąpić na niego nogą—ale po bliższym rozejrzeniu się i dokonaniu kilku próbnych pomiarów okazało się, że jak zwykle jest w tych strachach dużo przesady i że Tybetańczycy więcej się boją siedzących ich zdaniem pod lodem duchów, niż małej wytrzymałości lodu. Wobec tego 29 grudnia zamiar doprowadzono do skutku i mały oddział puścił się na lody. Zabrano ze sobą żywność na dziesięć dni, dwa żywe barany na zapas, mały namiot Roberta dla Ladaków i składaną łódź, której jedna połowa miała służyć Hedinowi za namiot, obie zaś razem za ostatni środek ratunku, gdyby lód istotnie okazał się za cienki.

Dla ulżenia ludziom niosącym pakunki i dla wygody Hedina urządzono rodzaj sanek, które zresztą parokrotnie trzeba było przerabiać, obmyślając formę najlepiej dostosowaną do nierównej i sypkiej miejscami powierzchni lodu. Ostatecznie za pomocą cynkowych listew z kila łodzi i związanych ze sobą ławeczek sporządzono coś może na wygląd dość dziwnego, ale tak lekkiego, że dość było najstabszego trącenia, żeby saneczki mknęły jak wiatr po lodzie. Na wierzchu rozestawiono złożoną kilkakrotnie burkę kaukaską, umieszczono linkę do mierzenia głębokości, dalekowiedz i inne drobiazgi, a kiedy nasz podróżnik skrzyżowawszy nogi rozsiadł się wygodnie na burce, a dwóch ludzi zaprzęgåło się zamiast koni, okazało się, że nietylko ciągnąć można bez żadnego wy-

siłku, ale i pod względem szybkości ten sposób lokomocyi nie pozostawia nic do życzenia.

Lód też na środku jeziora okazał się znacznie gładniejszy niż u brzegów i tam nawet gdzie wyraźnie znać było fale, które powstały pod wpływem wiatru i które w biegu od mrozu okrzepły, można było jechać z niemniejszą łatwością. Gdzienigdzie tylko wiatr zwiął z powierzchni lodu wszystkie śnieg i sól, która się po zamrożeniu na nim osadziła, przez co kolor jego był nie jak w innych miejscach matowo-biały, ale głęboko ciemny, prawie czarny. Czasami natrafiono na półtora-metrowej szerokości szczeliny, w których żywo pluśkała się woda i było to poważną zupełnie przeszkodą, jeżeli się weźmie pod uwagę, że takiej szerokości nie można było z pakunkiem na plecach przeskoczyć, obejście zaś sprowadzało za sobą ogromną stratę czasu, gdyż na prawo i na lewo szczeliny takie, powstałe w czasie burzy wskutek parcia lodu przez wiatr, ciągnęły się czasami, jak tylko okiem można było zasięgnąć. Zwykle jednak pod spodem formowała się szybko nowa warstwa lodu i sprawa kończyła się na zamaczaniu nóg, rzecz coprawda przy dwudziestu kilku stopniach mrozu niekoniecznie przyjemna.

Tragarze, których było siedmiu, niewiele sobie zresztą z tego robili. Poraz drugi i jak najbardziej usilnie podkreśliłby doprawdy należało całkiem wyjątkowe cechy tych niezrównanych ludzi, zawsze cichych, zawsze spokojnych, wesołych i śpiewających przy najoledszym bodaj uśmiechu losu, po stoicku zrezygnowanych w obliczu najdokuczliwszych przeciwności. Jeżeli czasami—rzadko zresztą—zdarzyło im się zapomnieć o swoich obowiązkach na chwilę, chętnie i bez szemrania podawali się karze, której sprawiedliwość była bezsprzeczna. Tak było np. kiedy jednego z tych dni, spędzonych na jeziorze, wiatr zmęczył ich ponad zwykłą miarę i kiedy doszedłszy do najbliższego brzegu, pokładli się tam wszyscy pokotem i zasnęli; okoliczności łagodzące były tak oczywiste, że Hedin nie miał serca ich nawet za to wyłajać, ale Rabsang, który zastępował tu Mahomeda Izę, oćwiczył wszystkich siedmiu z całą systematycznością jednego za drugim, co nietylko było przyjęte z całym poddaniem się, ale nie przeszkodziło zwykłym wieczornym śpiewom.

A przecież praca i tutaj nie była łatwa. Każdy z nich dźwigał na plecach całą górę pakunków i kiedy czasem dla wytchnienia siadali na lodzie, musiał jeden drugiemu pomagać, bez czego trudno by było powstać na nogi. To też sześciu





NA



LODZ'E.

ostatnim udawało się to od biedy jako tako, ale siódmy nieborak, który musiał wstać pierwszy, długo nieraz musiał się kręcić i przybierać najdłuższe pozycje, zanim mu się udało wywindować po kiju wbitym w lód z położenia siedzącego do stojącego.

Gdybyż przytem choć stale dopisywała pogoda. Ale np. taki dzień 2 stycznia zanotował sobie w notesie podróżnym Hedin, jako najgorszy z całej podróży i choć później sam łagodzi to spostrzeżenie, że właściwie mówiąc było więcej takich dni, które się wydawały na razie najgorsze, przecież wierzyć można, że tę chwilę—żeby znieść—trzeba było mieć siły i wytrzymałość ponad zwykłą przeciętną miarę.

Na pozór był to tylko zwykły, codzienny wiatr. Ale tutaj na szerokich lodowych przestrzeniach ten wiatr dął z taką niepohamowaną siłą, że w końcu walka z nim stawała się czemś rozpaczliwym, stawała się prosto grą, w której szło o życie. Jeszcze w dodatku trzeba było tego dnia właśnie iść i jechać przeciwko jego podmuchom. Rabsang i drugi Ladak, którzy ciągnęli saneczki nie widzieli chwilami innego sposobu, jak tylko kłaść się na lodzie, w przeciwnym bowiem razie huragan byłby ich wszystkich zmiotł jak kupę zeschniętych liści. Ustami i nosem sypała się garściami miazka sól, od której się zbierało na mgłości, z oczów szły krwawe łzy.

W pewnym momencie podczas dokonywania pomiarów sanki nietrzymane przez nikogo ruszyły nagle z takim impetem, że o pochwyceniu ich na razie nie mogło być mowy; że zaś były krótkie, kręciły się jak fryga naokoło swej własnej osi, mknąc jednocześnie z przerażającą szybkością naprzód—może na drugi brzeg jeziora, może do najbliższej szerszej szczeliny. Mniejszaby już zresztą o nie, ale na saneczkach leżała burka, a na burce siedział sam właściciel, i napróżno wszelkimi możliwymi i dostępnymi mu sposobami próbował zahamować rozszalały wehikuł, który najwiedoczniej tym razem wziął na kiel. I tak trwała ta szalona i jedyna w swoim rodzaju jazda aż do jakiejś większej wyniosłości czy nierówności lodu, która na miejscu wprawdzie osadziła sanie, ale przez


którą machnął nieszczęsny podróżnik, jadąc dalej po dyabelnie śliskim lodzie, już... nie na saniach. A potem trzeba było wracać i znowu brać się do rąbania lodu i mierzenia głębokości, trzymając w rękach linkę, od której skóra pękała i krwawiła się. I na dobitkę notować spostrzeżenia palcami, którymi inaczej nie można było utrzymać ołówka, jeno chwytając go całą garścią, jak kij lub jak trzonek od młotka.

Ale gorsza od ślizgawicy, wichru i soli była wieść, którą ósmego dnia pobytu na jeziorze przysłał Robert przez umyślnego. Władze tybetańskie dały nareszcie znak życia i oczywiście zaczęło się od najformalniejszego zakazu ruszenia się z miejsca. Co gorsza zaś rozkaz poparty był groźną demonstracją, mianowicie nadesłaniem 15 uzbrojonych drabów, którzy wprawdzie byli bardzo uprzejmi, ale i niemniej twardzi i stanowczy. Zapowiadało się to źle, gorzej nawet, niż źle bo gubernatorem w tej prowincji (Naktsangu) był Hladsze Tsering, który już raz w tem samym miejscu zmusił Hediina do odwrotu (w 1901 r.) i który pomimo to miał z tego powodu masę nieprzyjemności, co mu przypuszczalnie zostawiło o natrętnym cudzoziemcu niezbyt przyjemne wspomnienie.

Jak splotzone ptactwo wirowały myśli zaskoczonego w tak haniebnie przykry sposób podróżnika. Co robić dalej? Co począć teraz, kiedy się właśnie stanęło u wrót zaklętej krainy, u wrót, które zdaje się, że się słyszy jak się ze zgrzytem na zardzewiałych wrzeczadkach zamykają. Jechać do Pekinu, wymusić na mandarynach chińskich paszport i wrócić z powrotem, to jest ostateczność, której Hedin gotów jest chwycić, do której już nawet towarzyszków swoich namawia, ale która tem niemniej jest przecie ostatecznością. W każdym razie zanim za nią kolej nadejdzie, trzeba się czepić do ostatka nawet pozorów szczęśliwszych widoków wyjścia z tej głupiej sprawy, trzeba przedewszystkiem nadrabiać miną i brać sprawy i ludzi, tak jak czasem w takich wypadkach bywa najmniej źle t. j. z flegmą i z góry.

Zatem przedewszystkiem żadnego pośpiechu. Jeszcze parę dni na jeziorze, na którym trzeba





tyczasem skończyć pomiary, a o ile Tybetańczykom się śpieszy, mogą przyjść tutaj rozmówić się. Potem spokojny, miarowym krokiem dokonany powrót do obozu, w którym zostaje się wieść o mającym nastąpić za parę dni przyjeździe samego gubernatora. Później, kiedy w dniu oznaczonym przyjazd ulega zwłoce, stanowcza, niemal groźna z dowódcą siły zbrojnej tybetańskiej rozmowa, w której Hedin, który jest prawie więźniem, grozi swojemu dozorczy represjami, o ile nadal będzie go oszukiwał i o ile gubernator niebawem — nie nadjedzie, chciałoby się bezmała powiedzieć nie stawi się; wywiera to taki skutek, że Tybetańczyk ustala na piśmie dzień przyjazdu swojego zwierzchnika i zobowiązuje się zapłacić karę o ileby się jego zapewnienia okazały fałszywe. Ale tym razem pan gubernator jest słowny. Jest to stary, spokojny człowiek starannie zawinięty w futro z czerwonym baszłykiem, w chińskiej mycce o dwóch lisich ogonach i białym, szklannym guziku.

Rozmowa jaka się w przyjacielskim tonie to-

czy—dwaj przeciwnicy o mało co nie rzucili się sobie w objęcia na przywitanie—nie jest pozbawiona komizmu.

Hładsze Tsering skarży się na przykrości, jakich przez Hedina doznał i doznać na nowo może i oświadcza, że jest mu wszystko jedno, gdzie pan cudzoziemiec sobie pojedzie, aby opuścił jego prowincję wyjściem od tyłu czyli w stronę północy. Zapewnienie, że podróż nastąpiła z upoważnienia taszy-lamy z Szigatse przyjmuje dość sceptycznie, wreszcie on z taszy-lamą niema nic wspólnego. Na kategoryczną zapowiedź Hedina, że nie ruszy się z miejsca póki nie skomunikuje się z rezydentem angielskim w Szigatse i nie dostanie swej poczty—oburza się, nie zgadza, potem zgadza się ale nie chce dać koni, wreszcie daje i konie, aby pędzej.

I dwóch ludzi jedzie. Do rezydenta rządu angielskiego, który zabronił Hedinowi podróży do Tybetu i do taszy-lamy, który o nim nigdy nie słyszał.

(c. d. n.)

*St. Th.*



## GAWĘDY KRAJOZNAWCZE.

### XII.

Stoimy przed rocznicą Grunwaldu. I bez względu na to, czy uroczystości, jakie się za dni kilka w naszej historycznej stolicy odbędą, będą miały charakter świetny, czy nikły, bez względu na restrykcyje i zastrzeżenia, jakie pewna część społeczeństwa przeciwko nim miała, mało zapewne jest wspomnień, któreby miały większą wagę, któreby się w szerszych kołach serc po polsku bijących odzywały. Sądzę nawet, że w gruncie rzeczy wszelkie zastrzeżenia, o ile były, mogły być skierowane przeciwko sposobowi obchodu, przeciwko wynikającym z niego konsekwencyom i reakcyom politycznym, ale nie przeciwko momentowi, którego doniosłość narzuca się z siłą wprost żywiołową.


To nie jest święto literatury lub sztuki, które w zbożnem skupieniu obchodzić będą warstwy wybrane i któremu dla dekoracyi doda się garstkę mniej czy więcej barwnie ubranych delegacyi chłopskich; to nie jest chwila, której istotny sens trzeba ludziom wykładać z katedry, której smak i wrażenie trzeba odnajdywać na dnie duszy, zmęczonej wartkim biegiem codziennych spraw, codziennych trosk i kłopotów.

Dziś, jak przed laty pięciuset rozumiemy ją

wszyscy, od najwyżej w hierarchii duchowej stojących, do nizin zalanych cieniem i jeżeli czemu można się dziwić, to temu, że to już pięćset lat przeszło, że już całe liczne szeregi pokoleń pokładły się w grobie, że między nami a tym dniem chwały stoi tyle innych ludzi, tyle zdarzeń i pamiątek, a przecież widzimy go, jak żebyśmy sami brali udział w śmiertelnym boju, jak żeby nam jeszcze pot z twarzy nie ociekł, nie ostygła krew w tętnach tak mocno bijąca. Dziś w dowolnie wybranym terminie pięciuset lat naród polski święci rocznicę Grunwaldu, ale w istocie rzeczy, my tę rocznicę obchodzimy co dzień, my nią żyjemy, bo jeżeli skończony jest rozdział, niezamknięta jest księga i każde nowe pokolenie dopisuje do niej treść swego życia, treść w nieprzerwanym, logicznym związku ciągnąca się od pierwszej do ostatniej karty.

I dlatego, jak słusznie zauważył Sienkiewicz, chceć stawiać temu żywiołowemu pędowi tamę, byłoby straconym zachodem, jeżeli nie szaleństwem, byłoby w najlepszym wypadku marnowaniem sił, które warte lepszego celu. Chcieć wyrzucić Grunwald poza nawias życia narodowego, chceć zmusić społeczeństwo do wyrwania go ze swojej pamięci możnaby chyba uśpiwszy naród jakim ka-





miennym snem, w którym niema walki ani cierpienia, niema pokrzepienia z dokonanego wielkiego czynu i niema wobec tego nadziei.

Inna rzecz jak święcić. Jeżeli to ma być widowisko, choćby ono było najświetniejsze i najwspanialsze — nie stać nas na nie. Jeśli ma być kadzidłem próżności, którym ból nasz narkotyzować zechcemy—to jest trucizna. Że to nie jest i być nie może urzędowym, bezdusznym aktem, odbyłym jak za pańszczyznę, o tem chyba nie potrzeba wspominać. Chyba raczej—jeżeli już koniecznie klasyfikować potrzeba—jest to święto obozowe, moment wytchnienia i skupienia się wśród walki, chwila obrachunku rzeczy zrobionych i tych, które są do zrobienia. Jeżeli czas, zapał i środki nie mają być zmarnowane, jeżeli pięćsetna rocznica niema być pustem brzmieniem bez treści, starać się należy, żeby coś po niej widomego zostało, żeby nie była polem pustem i martwym, na którym kilkadziesiąt tysięcy ludzi z całej Polski zjechało się, pogadało i udeptawszy ziemię nogami, rozeszło się w spokoju sumienia do domów.

Jeden z takich czynów jest już nawpół dokonany: to dar szkolny grunwaldzki. Ale to nie jest wszystko — to są tylko pieniądze, to się znaczy rzecz względnie najmniejsza, część obowiązku względnie najłatwiejsza do wykonania. I to jest tylko szkolnictwo, które bezsprzecznie jest naszą największą troską i najcenniejszym skarbem, ale które całej treści życia narodowego nie wyczerpuje. W takich zaś uroczystych momentach powinien dań swoją płacić każdy człowiek, każda grupa, każda, jeśli tak wolno powiedzieć, chorągiew duchowa, i to nietylko pieniędzmi, ale własnym, osobistym czynem, własnym wedle sił swoich i środków wysiłkiem ducha, umysłu, woli. Gdybyśmy na obchody krakowskie przyjechali z pewną sumą rzeczy już dokonanych, czynów konkretnych, jeżeli nie podsumowanych, to przynajmniej zapoczątkowanych, byłoby to bezsprzecznie najwspanialszem uświetnieniem uroczystości. Że tak jednakże niestety nie jest, musimy ten dzień uważać nie za dożynki, lecz za siejbę, nie za koniec, lecz za początek pracy.

Nie mam zamiaru podsuwać żadnych pomysłów i planów. Te zrodzą się, powinny się zrodzić na miejscu, w Krakowie, powinny i mogą być obmyślane i wykonane w poszczególnych pomniejszych grupkach zawodowych, czy terytorjalnych. Chciałbym tylko w najpobieżniejszy, najskromniejszy sposób zaznaczyć jeden z najbardziej naturalnych spadków dla ujścia energii i dobrej woli, jakie się mogą ujawnić z okazji obchodów grunwaldzkich.

Mam na myśli dokładniejsze poznanie zagrożonego dzisiaj terytorjum, — chciałoby się powiedzieć: terenu wojny—która się toczy bez przerwy, bez

wytchnienia i bez pardonu. W tym kierunku pcha nas sam charakter rocznicy dziejowej, sama treść i wewnętrzne znaczenie bitwy grunwaldzkiej. Proszę sobie tylko dobrze przypomnieć, jak i dlaczego ta bitwa została wygrana.

Przez czas jakiś pod wpływem kłamliwych i bałamutnych naciągów historyków a zwłaszcza publicystów niemieckich uchodziło nawet u nas za pewnik, że zwyciężyliśmy masą. Ale nowsze, o ile to jest wogóle możliwe, jaknajbardziej zbliżone do prawdy badania, wykazują, że była wprawdzie po stronie polsko-litewskiej pewna przewaga liczby, nie tak jednak znaczna, żeby mogła rozstrzygać o losie bitwy, tembardziej, że jak wiemy w owych czasach daleko bardziej niż dziś zwyciężała nie liczba, tylko męstwo, sprawność i wyrobienie bojowe.

Ani przez ślepą grę losu, przez przypadek nie wzięliśmy góry. Przebieg bitwy był najzupełniej normalny, raczej dla nich, niż dla nas początkowo korzystny, potem wygrany, dzięki lepszej może taktyce, dzięki bezprzykładnej przedewszystkiem wytrzymałości i napięciu woli ze strony zastępów rdzennie polskich. Ale jest oprócz tego w samej bitwie moment mimochodem tylko przez jej monografistów uwzględniony, a niepośledniego, jak sądzę, znaczenia: wojska polskie przysły na plac boju wieczorem dnia uprzedniego, krzyżackie dopiero nad ranem. To się znaczy, Polacy mieli czas wytchnąć, odpocząć, przygotować się do bitwy i obrać dogodniejszą dla siebie między lasami pozycję, nieprzyjaciele ich zaś musieli przyjąć i stoczyć bitwę w czasie i miejscu, narzuconem sobie przez okoliczności. To nie jest tak dalece, jakby się mogło zdawać, dzieło przypadku, to jest kwestya obliczeń, przewidywań i znajomości terenu, dodajmy terenu, położonego w kraju, który był w rękę przeciwnika. I jeżeli dodamy, że poza samą bitwą grunwaldzką, cały uprzedni przebieg „wielkiej wojny“ miał ten sam charakter, że działania wojsk koronnych i litewskich przeprowadzone były według ściśle obmyślonego i co ważniejsze ściśle wykonanego planu, działania zaś krzyżackie znamionowały chwiejność i bezplanowość, nietrudno będzie zrozumieć, kto i dlaczego wygrał, kto musiał wygrać. Proszę zaś sobie przypomnieć, że jeżeli dziś—wobec map, kolei żelaznych, telegrafów, planów mobilizacyjnych nie jest łatwe operowanie wielkimi masami na wielkich przestrzeniach—to w owych czasach sprowadzenie dwóch, z przeciwnych krańców państwa dążących do Czerwińska armii w jednym dniu, musi być uważane za arcydzieło, które się tylko dzięki najwyższemu napięciu myśli i woli udać mogło i udało. I dzięki jaknajdokładniejszej znajomości dróg, rzek, leżących zawadą na drodze bagien, odludnych puszczy i bezdroży. Wiemy, jak wielką wagę do tego przywiązywano podówczas, jak wie-





le poświęcono starania dla poznania nie tylko swego, ale i cudzego terenu przyszłej wojny, jak wywiadowcy polscy chodzili w Prusach, jak badali stosunki, ludzi, twierdze, przejścia, środki, zapasy. Wiemy także, że strona przeciwna, że Krzyżacy, choć bliżej pod niektórymi względami cywilizacji zachodu stojący, zaniedbywali tego, więcej w siłę ramienia niż w siłę umysłu wierząc. I dlatego w końcowym wywodzie możemy spokojnie, lecz z uczuciem usprawiedliwionej dumy stwierdzić, że bitwę wygrali ci, którzy do niej byli lepiej przygotowani, którzy pod tym względem wzniesli się na wyższy, bardziej naprzód posunięty punkt traktowania sprawy. Że, mówiąc innymi słowami, pomimo swoich potężnych zamków i zbroj kunsztowniej hartowanych i przepięknego Malborka i pierwszej w Europie poczty i sprężystej administracji, machina państwowa krzyżacka działała gorzej, niż bezwładna na pozór organizacja młodocianego państwa polskiego i że w tej organizacji znajomość własnego kraju, własnych sił i środków odgrywała rolę pierwszorzędną doniosłości—jak zawsze.

A my dzisiaj? Nie chciałbym mówić gorzkich impertynencji, ale jak myślicie, ilu jest dzisiaj Polaków, którzy dość słabo wyobrażają sobie, gdzie leży Grunwald i ilu jest takich, którzyby znacznie bodajby miejscowości, leżące na drodze z Krakowa do Grunwaldu potrafili bez mapy wymienić? Mniejsza zresztą o Grunwald, pod który ani dziś, ani jutro bitwy staczać nie wybieramy się. Ale jeśli chodzi o ogólny stan wiadomości naszych o sprawach tamtejszych, o polskich sprawach w zaborze pruskim, czy lepiej rzeczy się mają. Przecież w tym kierunku dochodzimy do granic wprost niedopuszczalnych, kompromitujących.

Bo jakże nazwać nareszcie i jakim wypadem mówić tonem o fakcie, że więcej zapewne inteligentnych Polaków z Królestwa zna Paryż (o Berlinie już milczeć wolę), niż Poznań, że za wstyd uchodzi nie znać znaczniejszych miast w Szwajcarii, ale nie jest wstydem nie znać na pamięć miast bodajby powiatowych z naszych kresów zachodnich i zwłaszcza nie znać ich w polskim ich brzmieniu. Od czasu do czasu lubimy się zabawiać w Kolumbów, odkrywając całe nowe obszary i kraje, jak Mazury Pruskie, o rdzenie polskiej ludności, jak Kaszuby, tysiącem nici z polskością związane. Ale to zresztą nie pociąga za sobą żadnych konsekwencji, bo po przepięknych Mazurach Pruskich jeżdżą sami Niemcy (w wielkiej ilości), a na gdańskiem wybrzeżu Bałtyku, nawet ci, którzy byli w Sopotach, twierdzą, że nie mogli, czy nie chcieli odnaleźć śladów polskości.

Najpoczytniejszy dziennik warszawski prowadzi od kilku lat z uporem godnym lepszej sprawy kampanię przeciwko Sopotom, a fakt, że na „zgermanizowanym doszczętnie“ wybrzeżu powstało w

czasach ostatnich kilkanaście stowarzyszeń czysto polskich i dwa pisma polskie, puszcza się mimo uszów, albo się o nim wie tyle, co nic. To też mamy „Przewodnik po Europie“, ale nie mamy—bo i dla kogo—przewodnika po Śląsku pruskim, po Prusiech Zachodnich i Wschodnich, po Poznańskiem zaś jeden (dosłownie jeden), z samego zresztą wyglądu i rozmiarów na jaknajskromniejszą garsteczkę przejezdnych Polaków obliczony.

Tak, tym razem w wojnie, jaka się na tym nieszczęsnym skrawku ziem naszych toczy, Niemcy są lepiej uzbrojeni, lepiej przygotowani. Przed kilkoma tygodniami pozwoliłem sobie zwrócić na tem miejscu uwagę na niektóre z ich wydawnictw, poprostu zagrażające naszemu umysłowemu stanowi posiadania na wysuniętej na zachód placówce. Powtarzam, że książki, które wymieniałem są wzięte na chybił trafił, są drobną częścią ogromnej literatury, jaka na naszej ziemi powstaje o nas—przeciwko nam.

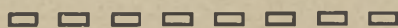
Podkreślam to jaknajmocniej. Jeżeli kto zarzuci mi, że niepotrzebnie o rzeczach tak znanych i uznanych mówię dwa razy, odpowiem, że nie mówię, ale wrzeszczećby należało, i nie raz, nie dwa razy, ale tak długo, póki sprawy inną, lepszą nie pójdą koleją. To jest abecadło, ale my się na nie zdobyć nie możemy, choć lubimy tworzyć ody i hymny.

Na wystawie przyrodniczej w Warszawie wystawiona jest niezwykle ciekawa i plastyczna praca prof. Romera, uzmysławiająca procentowy stosunek prac krajoznawczych o Polsce, wydanych w różnych językach. Wstyd powiedzieć, że w niektórych działach język polski zaznaczony jest ledwie wąską kreską obok grubego prostokąta niemieckiego, obok grubszych znacznie działów: rosyjskiego, nawet łańskieckiego, nawet angielskiego. To jest także przegrana bitwa, jedna z wielu przegranych, które daj Boże, żeby nie sprowadziły ostatecznie przegranej całej kampanii.

Myślę, że teraz z racji uroczystości grunwaldzkich, wartoby było o tem pomyśleć. To byłoby właśnie w duchu grunwaldzkim. Nie jedno okolicznościowe wydawnictwo, ale niekończący się ich szereg trzeba tworzyć; nie jedną wycieczkę, ale stały, nieustający kontakt, stałą wzajemną naukę, stały uścisk dłoni, który się nie rozerwie za życia.

Są trudności — przełamać je. Tamci z pod Grunwaldu swoich wiadomości też w encyklopedyi nie szukali. Jeżeli brak jest środków—można je wynaleźć; jeżeli przy zwiedzaniu nawpół ziemczonych miejscowości trudno liczyć na gościnne przyjęcie—nie jedziemy tam po laury, ani na spacer pod łukiem tryumfalnym. Tylko się wyzyść z serca lenistwa i lekceważenia tego, co swoje i apatyj, z którą można od biedy krytykować, zrzedzić i stękać, ale z którą żyć niepodobna.

*Boruta.*





## Nowe książki.

Tadeusz Korzon. *Grunwald—ustęp z dziejów wojennych Polski z mapą teatru wojny.* Warszawa. Biblioteczka Narodowa M. Arcta, str. 44, 12 kop.

W skromnej rozmiarami ale poważnej treścią pracy poruszył nasz powszechnie znany uczone niewyjaśnione do dziś dnia dostatecznie zagadnienie bitwy grunwaldzkiej. W najwięźlejszej a niezwykle jasno wypowiedzianej formie streszczone tu jest to wszystko, co o dziejowym znaczeniu „wielkiej wojny” wiecie każdemu przystoi, z odrzuceniem zresztą szczegółów drugorzędnych, raczej gmatwających niekiedy, niż rozjaśniających plastykę obrazu. Pomimo to znalazło się miejsce na uzupełnienie, gdzieśgdzie sprostowanie prac poprzedników. Z poglądami największej dotychczas na tem polu powagi pułk. Konstantego Górskiego, nie zgadza się autor kilkakrotnie dość zasadniczo. Kwestyonuje przede wszystkim liczbę pomocniczych wojsk tatarskich, które Górski dopuszcza w wysokości najwyżej 300 ludzi, a co do których prof. Korzon mniema, że były „nieznanej nam liczby, ale niemależ, zapewne wynoszącej 30,000, ponieważ wkrótce, w końcu 1410, opanował (han Soldan) władzę najwyższą w Złotej Hordzie i wypędził z niej Edyge”. Ale i w określeniu liczby reszty wojsk, przyjmujących udział w bitwie, różnice są bardzo znaczne. Odrzucając średnią przypuszczalnie liczbę ludzi w chorągwi, jako niemającą zastosowania do nieregularnych formacji wojskowych średniowiecza, skłonny jest autor raczej przypuszczać razem z Voigtem, że liczba krzyżaków sięgała 83,000 (zamiast 16,300 samej jazdy pg. Górskiego), armia zaś polsko-litewska liczyła przeszło 100,000 ludzi (zamiast 23,600), przy czem prawdopodobieństwo tej liczby uzasadnia wielkością współczesnych mniej więcej wypraw polskich: Kazimierza W. na podbój Rusi w 1340 r. (20,000) Jana Olbrachta w wyprawie bukowińskiej w 1497 (40,000) i Jagiełły w wojnie gołubskiej z 1422 r. (100,000). I sam przebieg bitwy uzmysławia sobie prof. Korzon inaczej, niż Górski, skłaniając się raczej ku zdaniu, że Jagiełło wprowadzał hufce polskie w wir bitwy częściowo i kolejno. Wogóle zasługi i wartość przewodnictwa, jeżeli nie faktycznego, to moralnego Jagiełły podkreślone są kilkakrotnie dobitnie, ze szczególnem zaznaczeniem wykonanej przez niego pracy przygotowawczej przed wojną.

T-t.

□□□□□□□□□□

## Kronika Krajoznawcza.

+ We wrześniu i październiku r. b. odbywać się będzie w Warszawie Druga Wystawa Rybacka. Dzielić się ona będzie na 10 grup: hodowla ryb w gospodarstwach stawowych, hodowla ryb w rzekach i jeziorach, hodowla raków, choroby ryb, ich przyczyny i środki lecznicze, przemysł rybacki i przetwory rybne, przybory

i przyrządy rybackie, sport rybacki, budownictwo stawowe i wodne oraz dział melloracyjny, dział naukowy i statystyczny, wreszcie—wszelkie przedmioty, z hodowlą ryb i rybołówstwem związek mające. Wystawa otwarta zostanie 15 września r. b. Łazienkach w gmachu zwanym „Pomarańczarnią”. Prezesem Komitetu Wystawy jest p. Henryk Kotłubaj, sekretarzem p. Julian Wasilewski i gospodarzem inż. Rajmund Stodolski.

+ W Łodzi powstanie nowa placówka kulturalna—muzeum nauki i sztuki.

W tych dniach właśnie piotrkowska komisya gubernialna od spraw stowarzyszeń i związków zatwierdziła ustawę towarzystwa „Muzeum nauki i sztuki”, i odbyło się pierwsze posiedzenie założycieli nowego towarzystwa, do których należą niemal wyłącznie członkowie byłego komitetu wystawy przeciwalkoholicznej.

+ W departamencie leśnym w Petersburgu odbyła się narada w sprawie dalszej walki z mniszką w lasach skarbowych w Królestwie Polskiem. Mniszka w r. 1909 pojawiła się w lasach rządowych w gub. suwalskiej, kaliskiej i częściowo w gub. łomżyńskiej. Na walkę z nią w miejscowościach tych wydano w r. z. 47,448 rb., nie zaradziło to jednak złemu. Mniszka zagnieździła się w leśnictwach w gub. suwalskiej na przestrzeni 8,000 morgów, przechodząc do sąsiednich lasów gub. kowieńskiej. Narada uchwaliła w r. b. prowadzić dalszą walkę z tym szkodnikiem. Walka ta będzie polegała głównie na tem, że na drzewa będą nakładane kółka ochronne ze specjalnego kleju lepkiego. Nadto ma być zniszczony zagajnik na przestrzeni 600 m., gdzie zagnieździła się mniszka. Co zaś do lasów w gub. kaliskiej i łomżyńskiej, to według doniesień warszawskiego zarządu rolnictwa, mniszka w tych miejscowościach znikła, nie wyrządźwszy szkód.

+ Z Wołynia donoszą do dzienników, że Rada ministrów zaaprobowała już projekt nowych ograniczeń co do władania ziemią przez osoby pochodzenia niemosyjskiego na Wołyniu, Podolu i Ukrainie. Projekt ten wywołał ogromny popłoch wśród drobnych rolników, Polaków w Królestwie i Niemców kolonistów, którzy posiadają ziemię na podstawie umów prywatnych (tak zw. „zaprodanych”), poświadczonych tylko w gminie („wołost”). Śpieszą oni tłumnie do kancelaryi rejentalnych, aby transakcye zalegalizować i przyoblec w formalne umowy hipoteczne. Atoli notaryusze w Łucku, Równem i Dubnie odmawiają tym żądaniom i tłómaczą interesantom, iż aczkolwiek wymieniony projekt dotąd jeszcze Dumie Państwowej przedstawiony do uchwalenia nie został, ale istnieje sekretne rozporządzenie, nakazujące rejentom, aby się od sporządzania podobnych aktów wstrzymywali.

+ Rada m. Lwowa przeznaczyła 10,000 koron na roboty konserwacyjne w dawnej kamienicy Sobieskiego w rynku lwowskim. Prace obecne mają na celu przywrócenie dawnego wyglądu trzem komnatom parterowym. W jednej z nich odsłonięto bardzo piękne dawne sklepienie ostrołukowe, pochodzące jeszcze z połowy





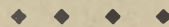
XV wieku, z pierwotnych czasów tej pamiątkowej kamienicy; w dwóch innych komnatach, po odczyszczeniu ukazało się ozdobne sklepienie renesansowe. Roboty około uporządkowania tych trzech komnat mają być do końca czerwca ukończone, gdyż zarząd Muzeum narodowego, mleszczącego się w tej kamienicy, pragnie, aby w rocznicę Grunwaldzką, t. j. w połowie lipca urządzić i otworzyć tam zbrojownię, składającą się obecnie z kilkuset okazów, pochodzących z XV wieku. Dalsze rekonstrukcje kamienicy królewskiej nastąpią po uzyskaniu niezbędnych funduszków. Wedle sporządzonego kosztorysu przywrócenie dawnej świetności temu drogocennemu klejnotowi historycznemu Lwowa wymaga kwoty około 180,000 kor.

+ Od Akademickiego Klubu Turystycznego we Lwowie otrzymujemy komunikat następujący: „Jar Dniestru wijącego się w tysiącnych zakrętach Podolem galicyjskim, a następnie tworzącego granicę Podola rosyjskiego i Besarabii, to jedna z najpiękniejszych okolic, a podróż łodzią Dniestrem obfituje w mnóstwo wrażeń artystycznych i historycznych. Akademicki klub turystyczny we Lwowie urządza w lecie dwie podróże Dniestrem łodziami: jedną całomiesięczną z Halicza do ujścia Dniestru do Morza Czarnego, drugą tygodniową z Halicza do spływu Dniestru ze Zbruczem w Okopach św. Trójcy na granicy Galicyi. Kierownictwo wycieczek objął p. Juliusz Mokłowski, który już kilkakrotnie odbywał podobne podróże Dniestrem, a zeszłego roku prowadził wycieczkę klubu ze Stanisławowa do Okopów. W obu wycieczkach mogą brać udział także niez członkowie klubu za opłatą za użycie łodzi. Udział pań wyłączony. Wymagana umiejętność wiosłowania i dobrego pływania. Wycieczki wyruszą z Halicza 29 lipca, pierwsza potrwa do początku września, druga do 6 sierpnia. Po przybyciu do Akermanu uczestnicy wycieczki do Morza Czarnego zwiedzą Odessę i zrobią parowcem czterodniową wycieczkę na Krym, gdzie zatrzymają się w Sebastopolu, Baczysyeraju, Jalcie i Kerczu. Powrót koleją. Koszta pierwszej wycieczki około 200 kor., drugiej 50 k. Zgłoszenia i zapytania adresować należy: do p. Juliusza Mokłowskiego, Halicz, ul. Sokoła.

założony przed kilku laty staraniem zapalonego miłośnika przyrody górskiej, d-ra Hugona Zapałowicza, nasamprzód z siedzibą w Makowie, potem w Zawoi, przeniósł po dłuższych układach siedzibę swą do Żywca. Na walnem zgromadzeniu wybrano nowy zarząd, w którego skład weszli: Otto baron Klobus właściciel dóbr Łodygowic, jako przewodniczący, Br. Gustawicz, dyrektor szkoły realnej, jako jego zastępca, i M. Rewakowicz, zarządca podatkowy, jako sekretarz i skarbnik. Delegatem oddziału na Zawoję i okolicę mianowano p. J. Wolskiego, kupca i właściciela hotelu w Zawoi, na Białę i okolicę p. dyr. D-ra Brodackiego, na Krzyżowę i okolicę p. W. Silbermanna. Gospodarzem schroniska na Markowych Szczawinach po północnym stoku Babiej góry jest Józef Garcarczyk. Na drodze z Jeleśni do Póthory (na Orawie) utworzono w Krzyżowej stację turystyczną u p. W. Silbermanna już to dla odpoczynku, już też dla noclegów. Obecnie toczą się rokowania o utworzenie takich stacji w Jeleśni i w Bystrej pod Białą, oraz w Sopotni Wielkiej pod Pilskim i w Żabnicy pod Romanką, wreszcie o wytknięcie drożyny na Skrzeczną tak z Ostrego, jak i ze Szczyrku. Również powzięto zamiar założenia schroniska na Skrzecznej. W końcu nawiązano stosunki ze sekcją biało-bielską niemieckiego Towarzystwa Beskidowego celem wspólnego i jednakowego znaczenia dróg i ścieżyn po tutejszych górach. Bardzo pożądane byłoby wydanie krótkiego i zwięzłego przewodnika po tutejszych górach z ilustracyami i mapą; o ile wiadomo, dyrektor Gustawicz, znakomity znawca tych gór i dzielny turysta, ma na wykończeniu taki przewodnik i wielkoby położył zasługę dla turystyki polskiej przez jej wydanie; Niemcy mają ich kilka, jak np. Kolbenheyera i Matzury.

+ Jak donosi Gaz. Olsztyńska, nabył drogą kupna p. Wojnowski z Koszelew folwark w Prusach Wschodnich Ulnowo, obszaru 1600 mórg magdeb. za cenę 260,000 mk. na subhaście. Ulnowo jest historyczną wsią, leżącą w bliskości Sztymborku (Tannenbergu) i Grunwaldu. W Ulnowie siadał na koni król Jagiełło i podążył pod Grunwald na pole walki, gdzie zadał krzyżakom znaną klęskę.

+ Oddział Babiogórski Towarzystwa Tatrzńskiego



## OD ADMINISTRACJI.

Przypominamy Szanownym Prenumeratorom, że czas odnowić przedpłatę na kwartał III-ci.

**TREŚĆ:** *J. K. Kochanowski* — „Grunwald. 1410 — 1910”; — *S. W.* — „Pamiętki z pod Grunwaldu” (z 2 ilustr.); *M. Wisznicki* — „Szlakiem Jagiełły” (z 6 ilustr.); *St. Th.* — „Sven Hedin w Tybecie” — c. d. (z 2 ilustr.); *Boruta* „Gawędy krajoznawcze” — XII; Nowe książki. Kronika Krajoznawcza. Ilustracja po za tekstem: Wawel. Od Administracji.

Wnieść tytułową i ozdoby w tekście rysował Mikołaj Wisznicki — Odbito w tłoczni Piotra Laskauera i 8-ki — Składał i łał Wacław Domański — Odbijał na maszynie Ignacy Kotasiński. — Kłiszę wykonano w zakładzie B. Wierzbickiego i 8-ki — Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Pilicy.

Redaktor i Wydawca **Kazimierz Kulwieć.**